

Ucieczka przed bandziorami

Wiosna 1943 roku przyniosła zasadniczą zmianę w naszym życiu. Doskonale pamiętam kwietniowy dzień i dręczący mnie od rana dziwny niepokój. Kiedy zadzwieczał telefon, serce dosłownie zamarło mi w piersi, wiedziałam, że stało się coś strasznego. Ktoś podniósł słuchawkę i natychmiast zapanowało w domu zamieszanie. Okazało się, że w nocy na Mazanów dokonano napadu. Dorośli musieli znać pseudonim odpowiedzialnego za napad dowódcy, ja poznałam go dopiero po latach, kiedy Krzysiek natrafił na grób partyzanta na wojskowych Powązkach i kupił rodzicom jego *Wspomnienia*. „Przepiórka” sam wielokrotnie pisze o problemie bandytyzmu swoich ludzi, a raz o zaopatrywaniu się w Mazanowie w żywność i furmanki tak często, że w połowie kwietnia 1944 roku uznał majątek „za bazę wyczerpaną” i postanowił „pozostawić go w spokoju, gdyż zagrażała mu kompletna ruina” (Edward Gronczewski, *Wspomnienia Przepiórki*, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1964). Bandyci popełnili w Mazanowie ciężkie przestępstwa, o których dowiedziałam się znacznie później. Wtedy poinformowano nas jedynie, że pobili wuja Stefana, człowieka gołębiego serca, szlachetnego i delikatnego. Tego nikłej postury gruzlika dwumetrowy drab rzucił na ziemię i skakał po nim, co skończyło się złamaniem wujowi nosa i na pewno zaszкодziło jego płucom. Nauczycielkę kilku bandziorów po kolei gwałciło na podłodze w stołowym, na oczach domowników, zmuszonych do patrzenia. Jeden złapał za włosy szesnastoletnią wówczas Małą Marysię i byłby z nią zrobił to samo, gdyby nie walnęła go głową w brzuch, nie uciekła i nie schowała się w warstwie liści, ocieplających kurnik.

Po otrzymaniu wiadomości o napadzie w Moniakach pośpiesznie załadowano na fury żelazne łóżka, pościel, odzież i inne najniezbędniejsze sprzęty, po czym dwie matki z piątką dzieci i pokojówką Marysią wyjechały z domu. Za gazonem, od strony parnika, kwitły wtedy forsycje, a choć upłynęło już tyle lat, na widok tych pierwszych rozkwitłych krzewów zawsze stają mi przed oczami Moniaki w tamto szare wiosenne popołudnie.

Początkowym etapem naszej podróży był Urzędów, uznany za miejsce chwilowo bezpieczne, a następnym Kazimierz Dolny, wybrany chyba przez mojego ojca, w tamtych czasach głowę dwóch rodzin i nie kwestionowany autorytet.

Życie w Kazimierzu było do pewnego stopnia kontynuacją poprzedniego. Regularnie przyjeżdżały fury z zaopatrzeniem i nowinami, zawsze tęsknie wyczekiwane, a my dwa razy pojechaliśmy z wizytą do Moniak, gdzie po naszym wyjeździe Niemcy dla ochrony zbiorów zrobili Stützpunkt, co zapobiegało napadom bandyckim.

Pierwszy raz odwiedziliśmy Moniaki w lecie. Zmiany w domu, ogrodzie, wszędzie dokoła, fascynowały dzieciarnię. Niemcy, w sile plutonu, dowodzonego przez surowego, nie liczącego się ze słowami feldfebla, żołnierza z czasów pierwszej wojny światowej, zajęli murowaną oficynę, okopali się dokoła ogrodu i podwórza, zbudowali bunkry z bali przysypanych ziemią. Rozstawiali strażę, na podwórku przy oficynie odbywali zbiórki. Obserwowaliśmy ich godzinami, rozmawialiśmy z nimi, słuchaliśmy, jak wymyśla im feldfebel. Stanowili jakąś zbieraninę, na pewno w ich gronie znajdował się Alzatzczyk, bo przychodził pożyczać książki francuskie z biblioteki, i może Słowacy, bo mówili jakimś językiem słowiańskim.

Ten nasz pobyt w domu pod opieką okupanta przerwało dramatyczne wydarzenie. Otóż feldfebel zasłużył sobie na nienawiść podwładnych, więc głośno mu się odgrażali. W pełni tego świadomi jego zastępcy prosili, aby chodził sprawdzać warty w różnych godzinach, on jednak z pruską skrupulatnością robił to zawsze o północy.

I oto kiedyś usłyszeliśmy strzelaninę, na niebie rozbłysły rakiety, od strony podwórza doleciały głosy: „Ein Mann und eine Decke.” Matka natychmiast zgarnęła nas pod piec, jedyne w drewnianym domu bezpieczne miejsce, kazała leżeć spokojnie, a sama wypadła z pokoju. Krzątania w domu trwała długo, bo jak się potem okazało, opatrywano ciężko rannego feldfebla. Ranę odniósł, ledwie stanął w bramie podwórza, między stajnią cugową a oborą. Wtedy ktoś ukryty w nowym sadzie za kopką zboża przestrzelił mu na ukos oba płuca, a on jeszcze się ostrzeliwał, zanim padł z upływu krwi. Jej kałużę, podobno dużą, pobiegł następnego dnia oglądać Krzysiek.

Szczęśliwym trafem, jak zawsze, kiedy potrzebny był lekarz, nocował akurat w Moniakach Jerzy Olszewski i udzielił rannemu pierwszej pomocy wespół z moją matką, urodzoną pielęgniarką, która wszystkim na wsi, nie mówiąc o domownikach, robiła zastrzyki, szczepiła tyfus, stawiała bańki, opatrywała rany.

Rano przyjechała samochodem żandarmeria polowa z blachami na piersiach, co obserwowaliśmy z balkonu na piętrze, bardzo zaciekawieni i nieświadomi, że w takich wypadkach Niemcy brali odwet i dokonywali publicznych egzekucji. W Moniakach nikomu włos nie spadł z głowy dzięki feldfeblowi, który zapewnił żandarmów, że zna nazwisko winnego, ale go nie poda. Odwieziony do szpitala, podobno wylizał się z ran.

Przepłoszone matki zabrały nas z powrotem do Kazimierza, skąd po raz ostatni pojechaliśmy do Moniak w zimie. Poddano mnie wtedy kuracji, czyli kąpielom w soli ciechocińskiej, bo w Kazimierzu dokuczało mi reumatyczne strzykanie w kolanach. Sprowadzoną w drewnianych skrzyneczkach sól rozpuszczało się w wodzie, silnie podgrzewanej w kuchni, a następnie wlewanej do wanny. Leżałam w niej na tyle długo, że nie mogłam potem chodzić o własnych siłach, więc do łóżka zanosił mnie Tomek Solman. Wodę z wanny pokojówki wybierały dzbankami i podgrzewały następnego dnia, aby nie marnować soli. Kąpiele te poskutkowały na długie lata.

I ten drugi pobyt w Moniakach zakończył się raptownie. Nie wiadomo, czy Niemców chcieli zaatakować partyzanci, czy też Niemcy po prostu czegoś się zlekli, dość że wywiązała się strzelanina, a od jednej z rakiet zapaliła się sterta za ogrodem, od strony zachodniej. Choć widok był wspaniały, a wydarzenie emocjonujące, wyjechaliśmy pospiesznie. Ostatnie zdjęcia z Moniak ukazują naszą piątkę na zgliszczach tej sterty.



Ostatnie zdjęcie dzieci w Moniakach na zgliszczach sterty. Rok 1943

Rozstaliśmy się wtedy z domownikami, z niektórymi na zawsze. Babcie i p. Plucińska za stare już były na wędrowną w nieznaną, uważano zresztą, że z uwagi na wiek im nikt nie zrobi krzywdy, toteż pozostały na miejscu, podobnie jak panowie, którzy musieli doglądać majątku.

Lata moniackie nieodmiennie uważam za najszcześniejsze w moim życiu, bo upłynęły wśród ludzi kochających i kochanych, w otoczeniu dobrze znanym, w absolutnym poczuciu bezpieczeństwa. Z dzisiejszej perspektywy widzę, że cechowało je coś jeszcze: zupełnie specyficzny nastrój, trudny do określenia, wytwarzany przez osoby po prostu przyzwoite, które obecnie mogłyby uchodzić za przybyszów z innej epoki czy planety. Nie pamiętam, aby ktoś komuś zrobił w tamtym czasie świństwo czy krzywdę, powiedział przykre słowo, chciał kogoś zranić. To, jako bystrzy obserwatorzy, wiecznie szpiegujący i podsłuchujący dorosłych, na pewno byśmy zauważyli. Owszem, moi rodzice pewnie się kłócili, bo robili to do końca życia, ale nie przy dzieciach.

Dzieci w miarę możliwości osłaniano, ukrywano przed nimi rzeczy smutne czy straszne. Za mojej pamięci umarła w Moniakach tylko jedna osoba, służąca Różga. Miała raka piersi, matka opatrywała jej ropiejącą ranę, ale nam nawet zbliżyć się nie było wolno do pokoju chorej. Kiedy zaś Niemcy odkryli groby w Katyniu i chcieli, żeby Ojciec, jako prezes lubelskiej RGO, pojechał na miejsce zbrodni z komisją Czerwonego Krzyża, w domu odbywały się narady i rozmowy tak tajne, gazety ze zdjęciami zaś chowano tak dobrze, że mimo całej dociekliwości i sprytu niczego nie zdołaliśmy się dowiedzieć.